



Ponownie w Ministerstwie

Kiedy kwadrans później Martin prowadzony był przez ulicę Pokątną w eskorcie dziewięciu aurorów, ludzie co chwile przystawali, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Niektórzy stali w zbitych grupkach, obróceniem plecami do witryn sklepów i szeptali między sobą, kiedy Martin znalazł się w zasięgu ich wzroku.

— Fotka dla Proroka! — zawołał piskliwym głosem jakiś niski i tęgi czarodziej w kraciastej marynarce, który niespodziewanie wyskoczył na środek ulicy z wielkim aparatem w ręku.

— Nie mamy czasu, Greg! — odpowiedział z oburzeniem jeden z aurorów, ale zanim udało mu się przegonić intruza, ten

zdołał już użyć aparatu, spowijając Martina w kłębach duszącego dymu. Gande zaczął kasłać, z trudem łapiąc powietrze do płuc. Kiedy kłęby wreszcie ustąpiły, zauważył, że dotarli już do Dziurawego Kotła.

— Będiesz sławny, Romek — stwierdził jadowitym tonem najniższy z aurorów. — Jutro twoja gęba będzie na pierwszej stronie Proroka Codziennego...

— W sensie bardziej sławny, niż jestem? — spytał ironicznie Martin, starając się ignorować spojrzenia gości pubu, oraz barmanki, która blada jak ściana, przyglądała mu się w osłupieniu ze szmatą do ścierania stołów w rękę. *Pewnie jest przerażona, że gościła pod swoim dachem wielokrotnego mordercę*, pomyślał Martin.

Po opuszczeniu Dziurawego Kotła, na Martina czekała już limuzyna Ministerstwa Magii. Samochód był na tyle mały, że nie było szans, aby pomieścić w nim dziesięć osób. Kiedy jednak jeden z aurorów wprowadził go do środka, okazało się że jest tam wystarczająco miejsca dla dwudziestu barczystych czarodziejów. *Pewnie to te same czary, co przy torebce Lisy*.

— Zabieracie mnie do Azkabanu? — spytał, kiedy jechali w milczeniu przez dłuższą chwilę. Aurorzy wymienili między sobą spojrzenia.

— Najpierw będziesz miał szansę złożyć zeznania — stwierdził chłodno jeden z nich.

— Wymyśl lepiej dobrą bajeczkę dla Wizengamotu — zakpił drugi.

— Z zakatrupienia goblina pewnie jeszcze dałbyś radę się wywinąć — dodał z ironią barczysty auror. — W Wizengamocie jest dużo osób, które nie trawią tych kurdupli... Ale za zamordowanie dwunastu mugoli sam osobiście utopiłbym cię w wywarze żywej śmierci...

— To był wypadek — jęknął spanikowany Martin. — Ja nie chciałem nikogo zabić!

— Możecie się wszyscy zamknąć?! — warknął ze złością kierowca limuzyny, a Martin dostrzegł jego przenikliwe spojrzenie w przednim lusterku i natychmiast spuścił wzrok.

Kiedy pół godziny później Martin prowadzony był przez dobrze już mu znane atrium Ministerstwa, które teraz tętniło życiem, wszyscy przystawali, aby lepiej mu się przyjrzeć. Z kominów po bokach co chwilę wylaniali się jacyś czarodzieje, a przy fontannie stały całe grupki urzędników. Martin zauważył, że wśród nich było także kilku goblinów.

Ich widok natychmiast przypomniał mu o zamordowanym Be-grodzie. Jego żołądek ponownie wywrócił się na lewą stronę. Przez całą drogę miał pustkę w głowie. Nie miał kompletnie pojęcia, jak się z tego wszystkiego wywinąć. Jedno było jednak pewne. Musiał zadbać, aby Lisa w żaden sposób nie została w to zamieszana.

— Szef jest u siebie, Jorks? — spytał jeden z aurorów, gdy tylko weszli do kwatery głównej, a przy jednym z setki biurk za-stali szczupłego czarodzieja z haczykowatym nosem. — Zgarnę-liśmy Romana Piskorza!

Auror nazwany Jorksem oderwał się od pergaminu, który czy-tał i obdarzył ich nieco mętным spojrzeniem.

— Szef jest jeszcze w Departamencie Tajemnic — wyjaśnił, a Martin pobladł na twarzy jeszcze bardziej. *Czyżby Prakседа jednak wygadała, że to ja ukradłem zmieniaacz czasu?!*

— A co tam robi? — zdumiał się auror, który chwilę wcześ-niej kierował limuzyną.

— Ktoś zakatrupił Browna — odrzekł bez emocji Jorks i po-wrócił do czytania pergaminu. Martinowi zakręciło się w głowie. *Brown zamordowany? Jak to możliwe?! Przecież jeszcze kilka godzin temu był cały i zdrowy! Nie... To nie możliwe... Z pewnością chodzi o kogoś innego... W końcu Brown to popularne nazwisko...*

— Matt Brown był niewymownym? — spytał ze zdumieniem barczysty auror, a kiedy Jorks potwierdził kiwnięciem głowy, Martin z trudem przelknął ślinę. *To moja wina... Gdyby nam nie pomagał, nie byłoby go o tej porze w Ministerstwie... Omamiłem go tym piekielnym zaklęciem! Jasna cholera! Lisa nigdy mi tego nie wybaczy...*

— Skoro Harry jest zajęty, to skorzystam z jego gabinetu — stwierdził stanowczo auror o przenikliwym spojrzeniu i chwycił za ramię Martina, prowadząc go w kierunku drzwi po lewej stronie.

Kiedy obaj weszli do środka, oczom Martina ukazało się niewielkie pomieszczenie z dwoma biurkami. Na jednym z nich spoczywała plakietka z napisem "SZEF". Oba zawałone były stosem jakichś teczek. Auror polecił usiąść Martinowi na krześle pośrodku gabinetu.

— Mam nadzieję, że nie będziesz niczego kombinował — stwierdził chłodno, zdejmując różdżką niewidzialne więzy z dłoni Martina i siadając na biurku, tuż przed nim. Kiedy aresztowany poczuł, że więzy zniknęły, z ulgą wziął ręce do przodu i rozmasował nadgarstki, na których wciąż widoczne były ślady po magicznych linach.

— Nazywam się Michael Corner — oznajmił auror, przyglądając się Martinowi z wielkim zainteresowaniem. — Chciałbym, żebyś powiedział mi, co dokładnie zaszło w podziemiach Gringotta. Po co chciałeś włamać się do skarbcza Lestrangle'ów? Dlaczego poderżnąłeś gardło temu goblinowi?

Martin z trudem przelknął ślinę.

— Nikogo nie zamordowałem — wymamrotał, nie mając odwagi spojrzeć w oczy aurora. Corner prychnął z pogardą.

— Nikogo poza dwunastką mugoli w Polsce, tak? — zakpił.

— To był wypadek... nie chciałem rozwalić tej kamienicy...

— To trzeba była nie zabierać do niej eksplodującego kociołka — stwierdził chłodno auror. — Ich sprzedaż jest nielegalna. Po-

siadanie zresztą też. Kiedy ktoś próbował ci go sprzedać, trzeba było zawiadomić odpowiednie służby.

Martin nerwowo oblizwał usta.

— Nie wiedziałem jak działa ten kociołek — wyznał z zakłopotaniem. — Nigdy nie chciałem, żeby ktoś przeze mnie zginął.

Michael Corner wywrócił oczami.

— Gdybym brał galeona od każdego mordercy, który próbuje się tak tłumaczyć, dziś byłym bardzo bogaty — stwierdził z odrazą. — Ale nie jesteśmy tu po to, żeby rozmawiać o tamtym morderstwie. Chcę wiedzieć, po jaką cholere zakradłeś się do Gringotta? Nie masz tam swojej skrytki...

Martina rozboleła z nerwów głowa. Nie miał czasu na spokojnie pomyśleć i poukładać sobie wszystkiego w głowie. Uznał, że najrozsądniej będzie na razie niczego nie mówić.

— Domyślam się, że zanim zamordowałeś tego goblina, użyłeś na nim zaklęcia niewybaczalnego? — spytał z naciskiem auror, kiedy Martin dłuższą chwilę milczał. — Skoro więc zrobił to, co chciałeś, po cholere zarżnąłeś go jak wieprza?

Martin wciąż milczał. Jego głowę bombardowały setki chaotycznych myśli. Martwił się o Lisę. *Czy odzyskała już przytomność? Poradzi sobie z wydostaniem się z podziemi? Co zrobi, kiedy zobaczy moje zdjęcie w gazecie i dowie się o tym wszystkim? Czy kiedykolwiek mi wybaczy, że udawałem kogoś innego?*

— No dobrze, Roman. Skoro nie chcesz gadać, posadzę cię na kilka dni w Azkabanie — stwierdził ze złością Corner, gwałtownie powstając. — Dłuższy pobyt w ciasnej celi z pewnością rozwiąże ci nieco język...

Kiedy Martina osadzono w jednej z cel Azkabanu, ten poczuł wyraźną ulgę. Słyszał o tej twierdzy straszne historie i był przekonany, że nadal strzegą jej dementorzy. Na szczęście większość z tych opowieści okazała się mocno przesadzona. Długie dnie i

noce spędzane w ciasnym pomieszczeniu wcale nie były takie straszne. W zasadzie przeszkadzały mu jedynie ciągle jęki i wrzaski współwięźniów, którzy odsiadując tutaj długie lata, dawno stracili już rozum.

— Mogę mieć do szanownego pana prośbę? — spytał któregoś dnia przystojnego strażnika, który przechadzał się po korytarzu między celami z nieco groźnym wyrazem twarzy. — Chciałbym wysłać list...

Strażnik podszedł do krat celi Martina i obdarzył go nieco pobłażliwym spojrzeniem.

— Nie mamy tutaj sów — stwierdził chłodno — Poza tym skąd weźmiesz pergamin i pióro?

Martin zarumienił się lekko. Spojrzenie przystojnego strażnika wyraźnie go onieśmiało. *Ma takie błękitne oczy! I te długie rzęsy!*

— Pomyślałem, że byłby pan w stanie załatwić jedno i drugie — wyznał nieśmiało, nie mając odwagi spojrzeć w oczy rozmówcy. — Bardzo mi na tym zależy — dodał błagalnym tonem. Przystojny strażnik zamyślił się na chwilę, przeglądając kruczoczarne włosy ręką. Obdarzył Martina przenikliwym spojrzeniem i nagle nieznacznie się uśmiechnął.

— No dobrze — zgodził się, wzdychając ciężko — Powiniennem mieć gdzieś kawałek pergaminu. Pióro też się znajdzie...

Po kwadransie ponownie pojawił się pod celą Martina i wręczył mu wymiętolony zwój oraz magiczne pawie pióro. Podczas gdy Martin z olbrzymim przejęciem i zakłopotaniem kreślił pospiesznie słowa listu, strażnik przyglądał mu się z wielkim zainteresowaniem.

— Serio zabiłeś tych dwunastu mugoli? — spytał po chwili, a Martin pobladł, przerwał na chwilę pisanie i zawstydzony spojrział na strażnika. — Nie wyglądasz mi na mordercę.

— Bo nim nie jestem — wyznał sucho. — To był tragiczny wypadek. Nie chciałem żeby ktokolwiek zginął — w jego głosie

dało się wyczuć olbrzymie wyrzuty sumienia — Nie mam nic do mugoli. Sam przecież całkiem niedawno uważałem się za jednego z nich. Żyłem jak mugol!

— Żyłś jak mugol? — powtórzył z zaciekawieniem przystojniak. Martin westchnął.

— Tak. Moje zdolności zaczęły się ujawniać bardzo późno... — wyjaśnił. Strażnik wciąż się w niego wpatrywał. Na jego twarzy pojawiła się mieszanina współczucia i niedowierzania.

— A do kogo właściwie piszesz ten list? — spytał już dużo bardziej przyjaznym tonem. — Do swojej dziewczyny?

Martin pokręcił przecząco głową i ponownie się zarumienił.

— Nie mam dziewczyny — wyznał nieśmiało i ze zdumieniem spostrzegł, że na twarzy strażnika pojawił się wyraźny uśmiech. — To list do mojej przyjaciółki. Tylko nie wiem... czy mogę ci zaufać... Nie chciałbym, żeby ktokolwiek poza Lisą poznał jego treść...

— Nie mam w zwyczaju czytać cudzej korespondencji — odrzekł przystojniak tonem urażonego chłopca. — Wyślę ten list przy użyciu mojej prywatnej sowy. Przesyłki nadawane stąd są monitorowane...

— Dziękuję! To wiele dla mnie znaczy! — uradował się Martin i czerwony jak burak powrócił do kreślenia listu.

Przez kilka kolejnych dni Martin w napięciu oczekiwał na odpowiedź swojej przyjaciółki. Ta jednak nie nadchodziła. Zaczynał się martwić. *Być może nie udało jej się jednak wydostać z banku? Może wpadła w jakieś poważne tarapaty?* Ciągły stres i niepewność powodowały, że miał kiepskie samopoczucie. Chwilowe poprawy następowały, kiedy koło jego krat pojawiał się przystojny i życzliwy strażnik John. Przez te kilka chwil miał okazję zamienić z nim parę zdań. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to jedyna osoba, która naprawdę wierzy w jego niewinność.

— Co się stało? — spytał, kiedy kilka dni później John pojawił

się pod jego celą blady jak ściana. — Lisa odpisała?! — zapytał uradowany, widząc czerwoną kopertę w dłoni znajomego. Strażnik z kamiennym wyrazem twarzy przekazał mu kopertę przez kratę.

— Zanim ją otworzysz, musisz wiedzieć, że to wyjec — wyznał z zakłopotaniem, a widząc zaskoczone spojrzenie Martina pospiesznie wyjaśnił: — To nie będzie przyjemny list. Jego treść usłyszą wszyscy w Azkabanie.

Martin z trudem przełknął ślinę. Momentalnie pobladł na twarzy.

— To czemu wysłała mi taki list? — spytał z niedowierzaniem. — Przecież nie mogę go tutaj otworzyć...

— Nie masz wyjścia — stwierdził sucho John. — Jeśli tego nie zrobisz będzie jeszcze gorzej... — I oddalił się w pośpiechu, zupełnie jakby przed czymś uciekał. *Widocznie nie chce tego oglądać!* Martin trzęsącą się ręką otworzył czerwoną kopertę, która już zaczynała dymić. Kiedy tylko tego dokonał, jego celę wypełnił donośny głos Lisy. Jej wrzaski odbijały się od ścian, sklepienia i posadzki, wprawiając wszystko w drżenie. Jej słowa odbiły się echem po wąskich korytarzach twierdzy.

— JESTEŚ NĘDZNYM ŁGARZEM I MORDERCĄ! PRZEZ TE WSZYSTKIE LATA MIAŁEŚ CZELNOŚĆ MNIE OKŁAMYWAĆ! UDAWAŁEŚ MOJEGO PRZYJACIELA! WYKORZYSTAŁEŚ MNIE! JAK ŚMIESZ PISAĆ DO MNIE PO TYM WSZYSTKIM?! NIE CHCĘ MIEĆ Z TOBĄ NIC WSPÓLNEGO!...

I zapadła głucha cisza. Czerwona koperta wypadła Martinowi z dłoni i zajęła się ogniem. Ten stał po środku celi przez dłuższą chwilę, kompletnie porażony tym co właśnie usłyszał.

Tydzień później w Azkabanie ponownie zjawił się Michael Corner. Zabrał Martina z celi i ponownie przewiózł do Kwatery

Głównej Aurorów. Liczył, że blisko dwa tygodnie spędzone w ponurym więzieniu wreszcie nakłonią mordercę do mówienia. I miał rację. Martin dobrze wykorzystał ten czas. Wszystko dokładnie przemyślał i poukładał sobie w głowie. Wreszcie był gotowy zeznawać.

— Nie radzę ci tam wchodzić, stary — stwierdził jakiś auror wychodzący z gabinetu Pottera z wyraźnie zmieszaną miną, na widok Cornera prowadzącego Martina. — Szefuńcio kazał mi się wynosić i nie zawracać dupy!

— Przecież miałem z nim ustalone, że przesłuchamy Piskorza! — oburzył się Michael. Auror wzruszył ramionami.

— Jest u niego dyrektorka Hogwartu — wyznał. — Podobno zginął jakiś nauczyciel...

Martin poczuł, jakby bryłki lodu opadły mu na dno żołądka.

— Kobieta czy mężczyzna?! — spytał spanikowanym głosem, a auror obdarzył go pełnym obrzydzenia spojrzeniem i nie raczył odpowiedzieć.

— Który nauczyciel zginął? — dopytał Corner, wyraźnie zaniepokojony.

— Filius Flitwick — odrzekł auror, a Martin poczuł ulgę, choć starał się tego nie okazywać. — W każdym razie, Potter kazał nie przeszkadzać w spotkaniu... Nie radzę ci tam wchodzić...

Michael Corner prychnął z oburzeniem i zaprowadził Martina do jednego z biur. Posadził go na krześle i usiadł na przeciwko niego. Po chwili dołączył do nich barczysty auror. Ten sam, który eskortował Martina z Banku Gringotta.

— Pora, żebyś zaczął gadać, Roman — syknął Corner. Martin wziął głęboki oddech.

— Jasne. Wszystko wam opowiem — odparł, a widząc zadowolenie na twarzach aurorów, zaczął snuć opowieść, którą układał sobie w głowie przez tak wiele dni.

Przez blisko kwadrans w dość chaotyczny sposób opowiadał o

tym jak przypadkowo spotkał w Hogsmeade drobnego złodziej-
szka, Gilberta McDuke. Wyjaśniał, jak ten przebiegły czarodziej przekonywał go, że w skarbcu Lestrangle'ów znajduje się
zmiennicz czasu. Wy tłumaczył, że chciał go pozyskać, aby cof-
nąć się w czasie i zapobiec katastrofie budowlanej, w wyniku
której zginęło dwunastu mugoli. Przekonywał aurorów, że Gil-
bert obiecał mu bezinteresowną pomoc, a tak naprawdę wyko-
rzytał go, żeby zgarnąć dla siebie zmiennicz czasu. Z olbrzymim
zapalem wytłumaczył, że to właśnie Gilbert poderzwał gardło
biednemu goblinowi.

Przez cały ten czas Martin pilnował się, aby choćby słowem
nie wspomnieć o Lisie. Chciał mieć pewność, że nikt jej z tym
wszystkim nie powiąże. Nie mógł też powiedzieć aurorom o
Traversie. Wówczas musiałby opowiedzieć o tym, że śmiercio-
żerca chciał zmienić bieg wydarzeń i być może nawet mu się to
udało. Harry Potter z pewnością by się tym mocno zaintereso-
wał i zaczął drążyć temat. Szybko uzyskałby zeznania Praksey i
połączyłby Martina ze śmiercią Browna oraz kradzieżą zmieni-
cza czasu z Departamentu Tajemnic. *O nie! I tak mam dość kłó-
potów!*

— McDuke zabrał mi zmiennicz czasu i użył go, żeby zwać z
podziemi — wyznał na zakończenie swojej nazbyt przydługiej
opowieści. Michael Corner wpatrywał się w niego przez chwilę
w milczeniu. Kiedy rzucił krótkie spojrzenie swojemu barczyste-
mu koledze, ten wstał, podszedł do jakiegoś biurka, wyjął z szu-
flady plik teczek i przyniósł jedną z nich. Corner wziął ją i spoj-
rzał do akt w niej zawartych.

— Bardzo ciekawa opowieść, Roman — powiedział po chwili
z ironią w głosie. — Problem polega na tym, że Gilbert
McDuke zmarł dziesięć lat temu w Azkabanie... miał wtedy bli-
sko osiemdziesiąt lat...

Martin pobladł.

— Ten, którego ja spotkałem, był metamorfomagiem — wyznał sucho.

— McDuke nie był metamorfomagiem — stwierdził z przekonaniem Corner. — Kiedyś pracował jako uzdrowiciel...

— Do czasu, aż podał wywar żywej śmierci dwudziestu pacjentom oddziału zamkniętego — dodał z odrazą barczysty auror. Martinowi zrobiło się niedobrze.

— Ja nie kłamię. Ten koleś przedstawił mi się jako Gilbert McDuke — oznajmił desperacko. Obaj aurorzy nie sprawiali wrażenia zbyt przekonanych.

— W podziemiach banku znaleźliśmy dwie plamy krwi — powiedział nagle barczysty auror. — Jedna należała do goblina...

— No właśnie. Do kogo należała ta druga?! — wtrącił żywo Michael. — Kto był tam z tobą?

Martinowi zaczęło robić się gorąco.

— Powiedziałem wam już wszystko — stwierdził sucho, kiedy zdał sobie sprawę, że aurorzy nie kupili jego opowieści. — Nikogo nie zabiłem. Staralem się jedynie zapobiec śmierci tych biednych mugoli...

— Ciekawy zbieg okoliczności, że w czasie gdy ty próbowałeś zmienić bieg wydarzeń w Departamencie Tajemnic skradziono zmieniacz czasu — stwierdził z błyskiem w oku Corner.

Martin spuścił wzrok.

— Nie mam pojęcia, o czym mówicie — skłamał. — Nie ukradłem tego zmieniacza czasu...

Barczysty czarodziej prychnął z pogardą.

— Jasne, że nie! — fuknął. — Matt Brown go dla ciebie wyniósł. A ty zadbałeś tylko, żeby nie mógł nikomu o tym opowiedzieć!

Martin poczuł, że ponownie robi mu się niedobrze.

— W Dziurawym Kotle byłeś widywany z jakąś brunetką —

stwierdził ostro Corner. — Kim ona była?! To jej krew znaleźliśmy w podziemiach?! Ją też zabiłeś?!

— NIE! — wybuchnął w końcu Martin. — Ona żyje! Nie miała z tym nic wspólnego!

— Podaj jej nazwisko — polecił barczysty czarodziej. — Gdzie mamy jej szukać?!

— Skoro nic jej nie jest, z pewnością chętnie z nami porozmawia — wycedził przez zaciśnięte zęby Corner. Martin z zainteresowaniem przyglądał się swoim butom. Jego głowę bombardowały setki myśli i wątpliwości. Serce ogarnęła czarna rozpacz. *Na nic zdała się moja opowieść! Pokapowali się we wszystkim!*

— Wszystko już wam opowiedziałem — wymamrotał sucho.

— No dobrze. Dreblins odstawi cię do Azkabanu! — stwierdził z odrazą Michael Corner, gwałtownie powstając. — Tam poczekaś na posiedzenie Wizengamotu. Choć dla mnie ich wyrok już jest przesądzony.